



Mirosław Derecki

LUBELSKIE LATA EDWARDA STACHURY (4)

We wtorkowym numerze „Sztandaru Ludu” z 2 lutego 1960 r. na ostatniej stronie wydrukowano tłustą czcionką:

Wieczór autorski E. Stachury. Niżej – informacja : Dziś, w ramach kolejnego wtorku literackiego, odbędzie się wieczór autorski młodego poety lubelskiego - Edwarda Stachury.

Edward Stachura drukował swoje wiersze w „Kamienie”, „Kulturze i Życiu” - tygodniowym dodatku „Sztandaru Ludu”, „Nowej Kulturze”, „Współczesności”, „Odnowie” i „Nowej Wsi”. W roku ubiegłym zdobył II miejsce w ogólnopolskim „Turnieju jednego wiersza” podczas festiwalu młodych poetów w Poznaniu.

Wieczór odbędzie się jak zwykle w klubie „Nora” - Krakowskie Przedmieście 32. Początek o godzinie 19.

Nawet nie wiedziałem, że Sted miał już za sobą ostatnio druk w takich pismach, jak „Nowa Kultura” i „Współczesność”! Wcale się z tym nie afiszował.

Tego dnia - a także, kilku poprzednich i następnych - było bardzo zimno, mróz na całego. W Krakowie temperatura spadła do minus 34 st. C, pękały szyny. W województwie kozzalińskim silne wiatry nawiały zasy na szosach, tworzyły się zatory na drogach i szlakach kolejowych. Koło Kłodzka śnieg zablokował kursowanie pociągów. W Górach Świętokrzyskich pękały w lasach jodły. Na Lubelszczyźnie było podobnie...

I oto, ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu.

mimo mrozu i śniegu,

sala klubu „Nora” przed godziną 19 była wypełniona po brzegi. Przeważała artystyczna młodzież, ale znalazło się także wiele starszych osób - literaci, pracownicy kultury, dziennikarze. Kierownik klubu, Władysław Grzyb, biegał od stolika do stolika, zapalając świece, tkwiące we flakonikach, z których powyrzucano zeschnięte kwiatki. Wieczór miał się odbywać w odpowiednim nastroju.

Dyskusję miał bodajże prowadzić Stefan Zarębski; Grzyb już na środku tanecznego parkietu ustawił stolik dla prowadzącego i dla czytającego wiersze...

Dławiła mnie trema. Sted - nasączony dokładnie od kilku godzin, dla dodania sobie kurazu, winem - siedział w jednym z głębokich foteli pod ścianą, po prawej stronie sali, udając, że zachowuje zimną krew.

Co ja wtedy czytałem?

Zacząłem chyba (według kolejności dokładnie ustalonej przez Stachurę) od „Róży”. A potem musiała być pewnie „Noc”:

Ty się pochyl róža-bóg

Ty się do mnie pochyl [...]

Następnie - wiersz bez tytułu, trzema tylko gwiazdkami oznaczony:

Ja tobie poselstwa wysyłać pęki pokłonów

ale widzę lepiej sam pójdę

bo to wszystko puch jest pył

więc lepiej sam pójdę widzę [...]

I później już zaczęły się „Pieśni” z poematu „Dużo ognia”:

Nie byłem stróżem ognia w moim domu

rozrastały mnie domy nie moje i progi

i w liściach miałem hotele to moje

Latorośl byłem żadna bo nieuchwytna [...]

A dalej szła „Pieśń: Pływanie”, którą do tej pory tak lubię:

Pamiętam dawniej wędrować do Fajans

po kukurydzę i inne klejnoty

na wielkich barkach i biodrach wędrować

po fajans

Handel pamiętam wyborne dochody

dla obu stron rzeki jasnej

i czystej jak mój handel

Sól była tania a najmiłsza muzyka

do obiadu, kiedy soli dużo

bo to jest piękna przyprawa [...]

Następnie czytałem - „Pieśń: Odpływanie” i „Pieśń: Łażnia” oraz „Pieśń: Świętokradztwo”, „Pieśń: Dużo ognia” i „Pieśń: Odkupienie”:

Ode mnie już nawet

najdalsze siostry powietrzne ulatują dalej

choć oddalone o niebo wielkie to niebo

i tylko jego brzegi nas stykają i chmury

wędrujące od brzegu do brzegu te chmury

ale czy to może być źle [...]

Nie wtem, nie pamiętam już zupełnie, jakim wierszem zakończyłem, natomiast jeszcze dzisiaj słyszę w uszach tę wrzawę, która podniosła się po daniu znaku do dyskusji...

Sala podzieliła się

na dwa zwalczają się z furją obozy: zwolenników i przeciwników poezji Stachury. W tej drugiej grupie przeważali młodzi koledzy po piórze Steda.

Przesiadłem się na jakieś boczne miejsce, tuż przy grubym, czworobocznym, podtrzymującym sufit sali, filarze. Dyskusja stawała się coraz bardziej zajadła. Niektórzy młodzi poeci w zaciętrzewieniu odmawiali wręcz autorowi prawa do pisania. W pewnym momencie Zbyszek Domarańczyk, który siedział obok, trącił mnie w ramię i powiedział z absolutnym zachwytem w głosie: „Ty popatrz tylko na Steda; ty wiesz, co za chwilę może tutaj się zacząć dziać...!?”. Spojrzałem w stronę rzędu foteli pod ścianą: Stachura siedział blady, w dłoni ścisnął pustą butelkę po winie...

Ale nic się nie „zaczęło dziać”, bo oto nagle doszedł wreszcie do głosu, siedzący w pierwszych rzędach krzeseł, po drugiej stronie filara, starszy od nas o kilka lat krytyk i historyk literatury Tadeusz Kłak (wkrótce potem zaczął redagować w „Kamieniu” kolumnę literacką: „W stronę młodych”)... Ku ogromnemu zaskoczeniu przeciwników Steda, którzy mieli Kłaka „za swego”, on nagle wystąpił z płomienną obroną, co więcej - gorącą pochwałą poezji Stachury!

Niestety, nie pamiętam już, jak się dalej, po wypowiedzi Kłaka, potoczyła dyskusja w „Norze”. Jakże mógłbym wówczas przypuszczać, że po latach będę wracał do tego wtorku literackiego...

Wieczór autorski Steda był naprawdę wielkim wydarzeniem w ówczesnym kulturalnym życiu Lublina.

Zygmunt Mikulski pisał trzy dni później na łamach „Sztandaru Ludu” (z 5 lutego 1960 r.):

POEZJA — CHLEB POWSZEDNI

Wieczór autorski młodego poety lubelskiego - E. Stachury [...] nasunął zbyt wiele refleksji i spostrzeżeń, by można je było zachować tylko dla siebie. Był przede wszystkim jedną wielką niespodzianką. Pierwszą niespodziankę sprawiła publiczność. Na sali był komplet (rzecz, która się zdarza niezmiernie rzadko) młodych miłośników poezji.

Drugim ważnym problemem była, jakość prezentowanej poezji i poziom jej podania (wiersze czytał M. Derecki). Jesteśmy, jak się zdaje, świadkami narodzin talentu dużej miary, który ma wszystkie szanse wyjścia poza lubelskie opłotki. E. Stachura ma już poza sobą pierwsze doświadczenia startu poetyckiego. Drukował swe utwory w „Kulturze i Życiu”,

„Kamenie”, „Współczesności”, „Nowej Kulturze” itd., jest laureatem poetyckiego konkursu literackiego, i zdecydowanie wybija się spośród szarego nieco tła młodej poezji miejscowej.

Ostatnią wreszcie niespodzianką, niespodzianką zaskakującą, była temperatura dyskusji i jej dynamika. Wystąpienia i ostre starcia między poszczególnymi dyskutantami przepojone były taką żarliwością, dowodziły takiego zaangażowania osobistego w sprawy poezji, że niezmiernie trudno (dziś jeszcze) oprzeć się wzruszeniu i specyficznemu wstrząsowi. Młodzież na wtorkowym wieczorze okazała swe prawdziwe oblicze, oblicze ludzi, dla których sztuka nie jest ani rozrywką, ani zjawiskiem przebrzmiałym. Jest na pewno swoistą koniecznością życiową. Obok tego zjawiska trudno przejść obojętnie lub pominąć je milczeniem, tym bardziej, iż w codziennej praktyce nie żałujemy w stosunku do młodzieży barw czarnych i głosów na wskroś pesymistycznych. [...]

Przytoczyłem treść artykułu prawie w całości, bo oddaje on w sposób plastyczny i wierny nastrój tego, co się wówczas działo w klubie „Nora”. Zresztą, kto z dzisiejszych wielbicieli twórczości Edwarda Stachury będzie miał możliwość dotarcia do tych starych, zakurzonych roczników codziennej lubelskiej gazety?

Może więc warto przytoczyć także fragment zamieszczonego (w kilka miesięcy później) na łamach „Kameny” - „Do Edwarda Stachury listu prywatnego”, pióra Tadeusza Kłaka (nr 15-16, z 15-31 sierpnia 1960 r.), który nawiązywał do tamtego gorącego lutowego „wtorku literackiego”:

[...] Do dziś pamiętam te wzruszenia, jakie obce są lekturze większości bieżącej produkcji poetyckiej, bo tak to trzeba nazwać. Zadziwiła mnie delikatność i czułość niemal tych wierszy. I tęsknota, tak zresztą daleka od sentymentalizmu i łatwego wzruszenia. Przeżyciem była dla mnie „Róża”, którą czytałem później wiele razy.

[...] Przyznam się: byłem bezsilny wobec tej poezji, nie potrafiłem sformułować, co tu jest nowego, choć to nowe było dla mnie oczywiste. Wyczuwałem jej melodie, ale nie potrafiłem określić, co się na to składa. Dziś dla mnie sprawa jest już jaśniejsza. [...] Należy Pan do ludzi, którzy czują się dobrze tylko w krainie poezji.

[...] Ktoś może mi zarzucić, że jak wynoszę poezję dopiero poczynając się. Czynię to z całą odpowiedzialnością i z przekonaniem, że na taką poezję można stawiać. Napisałem zapewne mało o jej minusach, „ale czy to może być źle?” Daruje mi Pan ten cytat, lepszego nie widzę. Proszę przyjąć najlepsze życzenia. [...]

Nigdy już, od tamtego wieczoru, nie czytałem przed publicznością, ani nie mówiłem wierszy Stachury.

Po sukcesie

jakim był wieczór autorski Steda w klubie „Nora”, łamy miejscowej prasy stały przed nim otworem. Stachura związał się jednak naprawdę tylko z „Kameną”.

Z Zygmuntem Mikulskim łączyły wprawdzie Steda więzy wzajemnej sympatii, a nawet chyba - przyjaźni, ale w redagowanym przez „Mistrza” dodatku „Sztandaru Ludu” - „Kultura i Życie”, nie pojawił się przez szereg miesięcy ani jeden jego wiersz. Dlaczego tak się działo, nie wiem. Może Stachura wyczuwał, że „Mistrz” aż tak bardzo, jakby życzył sobie Sted, nie ceni jego poezji?

Pracował dużo. Owocem tej pracy było m. in. piękne, duże opowiadanie - „Jasny pobyt nadrzeczny”, które zostało wyróżnione na konkursie zorganizowanym przez redakcją „Nowej Kultury” i Wydawnictwa „Książka i Wiedza”. Poza tym kontynuował studia romanistyczne na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim.

Z początkiem wiosny Sted zaczął mieć kłopoty z mieszkaniem. Pokerowe noce, na które przychodzili do wspólnego pokoju w „akademiku” przy ul. Sławińskiego zbyt liczni entuzjaści tej gry (także spoza środowiska studenckiego), budziły coraz ostrzejsze protesty współmieszkańców „szesnastki”, którzy chcieli mieć spokój. I ostatecznie skończyło się to, zdaje się, wymówieniem Stachurze miejsca w domu akademickim.

Przez jakiś czas udzielał mu, dorywczo, gościny Lubelski Oddział ZLP w swym lokalu przy ul. Granicznej 7. W jednym z dwóch wielkich pokoi na parterze willi, należącej kiedyś do znanego bibliofila, historyka i pisarza, księdza Ludwika Zalewskiego, stała ukryta za szafą twarda i niewygodna kozetka, na której nocowano czasem przyjezdnych literatów, jeśli zabrakło dla nich miejsca w hotelu. Rano trzeba się było szybko zrywać z pościeli, bo przychodziła sekretarka oddziału, Olga Gajewska, i rozpoczynała urzędowanie.

Po prawdzie to Sted swoje tam mieszkanie zawdzięczał głównie dobroci i zyczliwości Olgi, która niejedną raz przymykała - jak sądzę - oczy na jego zbyt już przedłużające się pobyty, i także była nader wyrozumiała, jeśli chodzi o egzekwowanie należności za noclegi. A poza tym Olga, zabiegana między pracą w Związku a prowadzeniem własnego domu i wychowywaniem trojga dorastających dzieci, wspierała Steda w sposób na bardziej mu chyba potrzebny: swoją wiarą w jego pisanie, niezachwianym przekonaniem, że czeka go wielka przyszłość. „Panie Edwardzie, ja wiem, że pan się wybije!” – powtarzała. Nic dziwnego, że swoją pierwszą książkę, tomik opowiadań „Jeden dzień” - tak doskonale przyjęty przez krytykę - Sted podarował Oldze z dedykacją: *Drogiej i Szanownej Pani Oldze Gajewskiej za dobre serce i wiarę w Stachurę - Edward Stachura*. Pisał do niej kartki z licznych swoich podróży, przysyłał kolejne książki i przyjaźń ta przetrwała długie lata.

Snując plany

przeniesienia się od nowego, 1960/1961 roku akademickiego na Uniwersytet Warszawski, nie myślał Stachura o osłabieniu więzi z „Kamienią”. Przeciwnie: wyjeżdżając na wakacje, jak zwykle „gdzieś w Polskę”, wystąpił do kierownictwa redakcji z propozycją pisania „listów poetyckich” spoza Lublina. I już w lipcowym 13-14 numerze „Kamieny” (z

15-31.VII 1960 r.) ukazał się pierwszy taki list, zatytułowany po prostu: „Drogi Przyjacielu!”...

Za oknem jest czerwiec i niebo błękitne [...] Jakie to jest piękne miasto Wrocław, drogi mój! We Wrocławiu jesteś w Europie wielkomięjskiej. Ale znaleźć możesz takie [...] ciche miejsca przy kanałach wieczorem, że bardzo ci brak towarzysza - słuchacza - wdzięcznego. I ja to wczoraj wieczorem bardzo wyraźnie odczułem, kiedy przechadzałem stopy swoje i zamyślenie wzdłuż kanałów. [...] Stec kończył „korespondencje” słowami: Posyłam Ci więc wiele wesela i list ten weselny chyba, i chciałbym tak samo następne, co jakiś czas, co dwa, trzy tygodnie chciałbym do Ciebie taki list, w którym myśli moje i wrażliwości, i różne w różnych miastach patrzenia, a także umiejętność pisania mojego - nie wiem, jakiego, ale nie fałszywego.

Już w następnym numerze „Kameny”, podwójnym, sierpniowym, znalazł się kolejny „list”. *Drogi mój - pisał Stachura. - Miejscowość nazywa się Krzyże, a ja cały jestem zachwycony. Jest to wieś jedna, z tych zagubionych między jeziorem Nidzkim wielkim, wspaniałym i lasami nie mniej. Ale jezioro jest bez porównania. Pod niebem błękitnym migoce słonecznie i nieprzebrane i ma się wrażenie, że niebo jest niewiele większe od niego, [...]*

Ależ tak...! Ten „list do przyjaciela” to ziarno, z którego miało wykiełkować znane opowiadanie „Jak mi było na Mazurach”: *Miejscowość nazywała się Krzyże, a ja cały byłem zachwycony. [...] - ze zbioru „Jeden dzień”.*

Na obydwie „listy” zdecydował się odpowiedzieć „Mistrz”, Zygmunt Mikulski, zamieszczając w tymże numerze tekst zatytułowany: „Nie mniej drogi”. I podpisując go pseudonimem „Attikus”. W końcowej części rozwiódł się dość sarkastycznie na temat Stadowego pisania:

[...] Twój języki Twoja niby zachwycająca bezpośrednią tkanką doznania antyskładnia, użyta w tej paradoksalnej postaci dla ocalenia „natury” przeżyć, rzekomo wynaturzonych, kiedy przechodzą przez filtr gramatycznych prawideł. Modne. Autor pisze antypowieść, więc u nas trzeba pójść jeszcze dalej i kombinować (za sprawą Gombrowicza), coś w rodzaju antyjęzyka. [...] Czasem aż zdumiewa to rozumienie naszych potrzeb estetycznych ze strony najgłupszej gałązki czeremchy. Metafora, anafora, elipsa - a to po prostu pachnie. Potrafisz? Najgoręcej życzy ci tego twój - Attikus.

Wrzesień przyniósł w „Kamenie” opowiadanie Stachury - „Dwa hotele”, a połowa listopada (nr 21, z 15XI), jeszcze jeden jego „list” - zresztą, ostatni już - w którym m. in. Sted próbował, bronić swoich racji, tak frontalnie zaatakowanych przez Zygmunta Mikulskiego. Ale, trzeba przyznać, szło mu to dość niesporo; miał jeszcze zbyt mało zręczności potrzebnej

polemiście, i zbyt mało doświadczenia, aby wytrącić „Mistrzowi” z ręki broń: odpowiednio „wyeksponować” swoje, lub „zanegować” - jego argumenty.

(dokończenie nastąpi)

Pierwodruk: „Kamena”, 1986, nr 25, s. 3,10.